

Opowieść Umarłego Kozła #1

Zapomnienie o mojej osobie nadeszło znacznie szybciej niż początkowo się tego spodziewałem. Zapomnienie zatarało wszelkie ślady i wszelkie wspomnienia, pozostałem pustą kartką, błakającą się bez celu po świecie. Nikt mnie nie szukał. Nie zgłoszono mojego zaginięcia. Zostałem włóczykijem bez imienia, chłopcem ściganym tylko przez burze i wiatr. Gdy tak myślałem o ucieczce sądziłem, że po tym jak już wyrwę się z kajdan krępujących moje myśli, będę chłopcem który rządzi swoim własnym światem. Tak właśnie myślałem. Ale się zawiodłem. Zawiodłem się, bo wybiegałem zbyt daleko, bo moja wyobraźnia lubiła płatać mi figle, sprawiać, że poczuwałem się mesjaszem, który może prawić cuda i chodzić po wodzie. Ale ja nie umiałem chodzić po wodzie. Przekonałem się o tym pewnego listopadowego wieczora, gdy to mój wierny druh Asmodeusz zaprowadził mnie nad jezioro. Szczerze powiedziawszy nigdy wcześniej nie byłem nad jeziorem. Zaparło mi dech w piersiach, gdy ujrzałem gładką tafłę, od której odbijało się światło księżyca. Tafla była spokojna i niezmacona, a na jej powierzchni zaczęły wykwiatać pierwsze mroźne kwiaty. Pomyślałem wtedy, że cudnie byłoby przespacerować się po dziewiczym lodzie, na którym nie stanęła jeszcze żadna stopa. Śnieg zaczął prószyć z ciemnego nieba, po którym wędrowały bielutkie obłoki, pełzały po nim jak ślimaki uwite z mgły. Uśmiechnąłem się na ten widok i odchyliłem głowę, tak że płatki spadały na moich policzkach i topniały po zetknięciu się ze skórą. Asmodeusz pokręcił głową. Uznał to za wyjątkowo głupi pomysł. W zwyczaju miałem słuchać jego rad, lecz tym razem coś pchnęło mnie do dziecinnego nieposłuszeństwa, do jakiegoś buntu który na celu miał jedynie samo swe istnienie. Lubiłem się buntować. Taka była moja natura. (Dlatego uciekłem z domu) Asmodeusz obrzucił mnie wzgardliwym spojrzeniem czarnych ślepek i odszedł znad brzegu, dostojnym krokiem, wcale się za siebie nie odwracając. Pomyślałem, że chce mi zrobić na złość, więc nie zawołałem za nim. W końcu Asmodeusz nie był moim rodzicem, abym mógł obawiać się jego zniknięcia, abym musiał być mu posłusznym lub martwić się jego opinią. Asmodeusz nawet nie był człowiekiem. Podrapałem się po jasnej czuprynie i wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że chciałbym mieć na głowie czapkę. Mroźny wiatr owiał moje skronia. Prychnąłem. Niech idzie! – Pomyślałem. I faktycznie poszedł. Zostawił mnie nad brzegiem jeziora. A sam mnie tu przyprowadził! Cóż to miało na celu? Zastanowiłem się nad tym i doszedłem do wniosku, że Asmodeusz chciał popatrzeć ze mną na księżyc, odbijający się od gładzi wody. Asmodeusz lubił księżyc, prawie tak bardzo jak ja lubiłem buntowanie się. Mówił mi wiele na temat księżyca. Wspominał, że kiedyś był na księżycu. Nie uwierzyłem mu. (A może powinienem był mu uwierzyć?) W każdym razie powiedział mi, że na powierzchni księżyca dzieją się rzeczy o jakich nawet mi się nie śniło, że wieją tam wiatry jakich nigdy nie czułem na swojej młodej skórze i że na księżycu zatrzymują się istoty takie jak on. Pomyślałem wtedy, że mój druh plecie głupstwa. Kozy na księżycu?! Uśmiechnąłem się pod nosem. Ach, oczywiście, że nie! Co na księżycu robiłaby jakakolwiek koza? Zmarszczyłem brwi. A może pan Asmodeusz w istocie nie był do końca kozłem? W końcu kozły nie mają w zwyczaju mówić i pomieszkiwać na księżycu, prawda? Obróciłem się za siebie i powiodłem wzrokiem w kierunku, gdzie zniknął Asmodeusz. Na świeżym śniegu odcisnęły się jego racice. A niech go diabli! Niech sobie idzie, gdzie mu się podoba, chociażby na księżyc! Posunąłem się do przodu i zbliżyłem się do tafli jeziora, poznaczonej białymi wzorkami, które zostawił na niej mróz. Niektóre wyglądały jak bujne kwiaty, zarośla i krzewy, inne przypominały wijące się węże i dziki bluszcz. Były i takie, które wyglądały całkiem jak bożonarodzeniowe gwiazdki i aniołki. Czy dziś nie wypadła przypadkiem wigilia? Zastanowiłem się nad tym. Wedle moich obliczeń wigilia wypadła za pięć, sześć albo siedem dni. Nie mogłem dokładnie wiedzieć. Czas zlewał się w moich wspomnieniach, kręcił ósemki, a czasami rysował ścieżki tak zawiłe, że nie potrafiłem podążyć za nimi moimi myślami. Czas miał tendencje do płątania się, do zaciskania węzłów w pamięci, których potem nie sposób rozwiązać. Coś pchnęło mnie do postawienia kolejnego kroku (może podmuch wiatru, może siła wyższa, a może moja własna głupota?) Poruszałem się przed siebie. Lód zgrzytał pod moimi nogami, czasami popiskiwał. Lód

chrupnął, a szczeliny rozbiegły się po jeziorze, tworząc wokół mnie coś co wyglądało jak lodowy pająk. Ten pająk tylko czekał aż zrobię kolejny krok. Wiedziałem, że na mnie poluje. Każdy ruch spowodowałby, że pająk pochwyciłby mnie w swoje odnóża i wciągnął pod wodę, a stamtąd nie byłoby już wyjścia. Byłaby tylko lodowata, ciemna toń, pożerająca moje płuca i kradnąca z nich powietrze. Wzdrygnąłem się na tę myśl i przykucnąłem na lodzie. Już nie czułem się wszechmocny. Czułem się prawdziwie śmiertelny. Po raz pierwszy dotarło do mnie moje człowieczeństwo, moja kruchość. Mimo, że wtenczas miałem co najwyżej sześć lat, dobrze zdawałem sobie sprawę, że człowiek w starciu z naturą ma raczej nikłe szanse.

- Asmodeuszu! – Zawołałem. – Asmodeuszu!

Asmodeusz nie nadszedł, a moje słowa potoczyły się w ciemność. Zadrżałem. Lód jęknął. Zawołałem jeszcze raz. Cisza. Cisza napętniła mnie po brzegi, cisza wlała się do mojego umysłu i zasiała w nim przerażenie, które potem nie opuszczało mnie już nigdy. To przerażenie siedzi wewnątrz mnie do dziś, a ja wiem, że to nauczka od Asmodeusza. Załkałem. Rzadko płakałem, ale tej nocy wraz z moimi łzami pozbyłem się wszelkiego poczucia tęsknoty, jakie dotknęło mnie gdy samotnie klękałem na lodzie. Byłem dzieciakiem, dzieciakiem, który poniekąd pragnął znów znaleźć się u boku surowego ojca i nieporadnej matki. Poniekąd tego pragnąłem, ale wtedy zrozumiałem że to uczucie tylko mnie zniewala. Porzuciłem więc wspomnienia. Zostawiłem je na lodzie. Pomyślałem wtedy, że topie właśnie mojego ojca hazardzistę i matkę alkoholicką. Uwolniłem się i zawołałem jeszcze raz. Głośniej. I jeszcze głośniej. Po śniegu potoczył się stukot jego raciczek. Asmodeusz zbiegł ze wzgórza. Jego czarne, splątane futro pokryło się płatkami białego puchu, kołtuny zamarzyły. Tylko oczy nadal biły gorącem.

- Asmodeuszu! – Zawołałem, gdy stanął nad brzegiem.

Asmodeusz pokręcił łbem. Zrzucił z rogów płatki śniegu. Tupnął nogą i popatrzył prosto w moje przerażone oczy. Oczy, które przed chwilą posłały na dno jeziora wszelkie wspomnienia. Asmodeusz to zobaczył.

- Chodź chłopcze. – Powiedział.

- Ale lód!

- Lód słucha moich rozkazów. Nie skrzywdzi cię. – Uniósł łeb. Z jego nozdrzy buchnęła para.

- Jesteś pewny? – Zawołałem.

- A czy wyglądam jakbym nie był? – Asmodeusz postawił na lodzie nogę. Potem drugą, trzecią i czwartą. Podreptał w moim kierunku. Jego oczy lśniły w księżycowym blasku. Śnieg osiadał na grubych, kręconych rogach. – Idę po ciebie. – Powiedział tym swoim niskim, spokojnym głosem. Głosem, który przywodził mi na myśl porządnego mężczyznę, przykładnego ojca, którego nigdy nie miałem.

- Zabierz mnie! – Jęknąłem i chwyciłem się jego futra.

- Usiądź na moich plecach. – Poleciał Asmodeusz. Wspiąłem się na garb kozła i ścisnąłem mocno jego rogi. Byłem bezpieczny. Asmodeusz miał władzę nad lodem. Asmodeusz miał władzę nad wszystkim.

Asmodeusz, zaraz potem jak uratował mnie przed utonięciem w lodowatym jeziorze, zabrał mnie w miejsce, o którym opowiadał mi wiele historii. Miejsce to położone było u podnóża gór, schowane w kosodrzewinie, osłonięte od drapieżnego wiatru, od ostrza mrozu i gniewu śnieżycy. Miejsce to

znajdowało się gdzieś gdzie nie docierało światło latarni, skąd nie można było dostrzec błysku miejskich świateł, skąd nie można było usłyszeć gwaru ludzkich rozmów na tłocznych uliczkach i gdzie żaden z ludzi ponoć się nie zapuszczał. Asmodeusz poniósł mnie na swoim grzbiecie poprzez połoniny, rozlewające się nad miasteczkiem. Z wielkich łąk widziałem jeszcze ciepłe rozbłyski w okiennicach domków, usytuowanych na obrzeżach wiosek. Patrzyłem na miasteczko, które nikto w mroku i zlewało się z wszechobecną, pierwotną ciemnością. Gdy tak szliśmy poprzez hale uświadomiłem sobie jak wiele tamte ciepłe miejsca dla mnie znaczyły. To tam, na tamtych gasnących w mroku uliczkach bawiłem się z braćmi w chowanego, to tam ukradłem worek jabłek i to stamtąd zabierałem orzeszki w karmelu. Przypomniałem sobie o ich zapachu. Była to woń obskurnych uliczek, woń prażonej kukurydzy, cukrowej waty i tych słodkich orzeszków. Potem w myślach odtworzyłem melodie, jaką grajkowie wzbijali w przestrzeń przez swoje zdobione skrzypce. Była też melodia pozytywki, nakręcanej co wieczór przez klauna z wielkim czarnym kapeluszem, do którego ludzie od czasu do czasu wrzucali monety. Te wszystkie obrazy zdały mi się nagle odległe, dalekie jak ocean, choć dzieliło mnie od nich zaledwie pół godziny drogi piechotą. Okolice Gooseville miała to do siebie, że cywilizowane miasteczko i okoliczne wioski bardzo szybko przechodziły w dzicz. Gdy tak opuszczałeś Gooseville i udawałeś się na spacer, prędko mogłeś znaleźć się na ścieżkach prowadzących w wysokie, nieprzyjazne góry. Na takie ścieżki miejscowi rzadko wchodziłi. Częściej widywałem na nich turystów z wielkimi plecakami. Ludzie z miasteczka, zwłaszcza ci starzy opowiadali historie o górach. Pewnego wieczora, gdy siedziałem z matką w ogródku przed knajpą pana Bradleya, pewien jegomość o srebrnych włosach, imieniem Zgrzybiały Tim opowiedział mi i kilkoro innym dzieciakom o tym jak to, gdy jeszcze był młody udał się w góry. Słuchaliśmy Tima z zapartym tchem, z szeroko rozdziawionymi ustami i oczami jak spodki. *Góry są zdradliwe, góry lubią płatać figle, zwodzić człowieka i bawić się w podchody. Góry to wyjątkowo nieprzyjemne dranie. Tutaj – Skinął na ogródek i miasteczko za płotem. – Tutaj, w mieście jest swojsko, dookoła są dorośli, a wszystko jest przyjazne i ciepłe. Tam wysoko jest inaczej. Gdy już zapuścisz się dalej niż powinieneś góry szybko dadzą ci o tym znać. Moje dzieci, musicie wiedzieć, że są pewne nienaruszalne granice, których człowiekowi nie można przekraczać. Takie granice stoją tam od czasów, gdy ani wy ani ja jeszcze nie chodziliśmy po świecie. A z rzeczami starymi jak dinozaury lepiej nie igrac. Górskie ścieżki prowadzą w różne miejsca, zakręcają do gęstych jodłowych lasów, czasami wiodą na zbocza skalistych szczytów, inne prowadzą nad urwiska, ale są i takie które zaprowadzą was do miejsc, na których lepiej nie stawiać stóp. Do starych miejsc. –* Wypuścił z ust kłębek dymu i zakaszał. Moja matka obrzuciła go zde gustowanym spojrzeniem, jakby chcąc powiedzieć mu, że przy dzieciach się nie pali. (Choć jak powszechnie było wiadomo sama przy dzieciach piła i paliła) – *Ja, kiedy miałem kilkanaście lat zapuściłem się w jedno z takich miejsc. Wybrałem ścieżkę jaką nigdy wcześniej nie szedłem. Prowadziła przez las, wzdłuż strumienia, potem opadała w dół wąwozu i zakręcała za wilczą skałą. Potem ścieżka wywiodła mnie na zbocze jakiejś góry, które porosło wyjątkowo mokrym, ciemnym sosnowym lasem, poprowadziła mnie przez las, przez rozległe hale i przez świerkowy zagajnik. Później znowu opadła w kotlinę i skręciła. Skręciła w miejsce, gdzie przeszła w kamienną dróżkę, biegnącą pomiędzy olbrzymimi drzewami. Takich drzew nigdy wcześniej nie widziałem. Musiały być bardzo stare. Wszedłem na dróżkę. Patrzyłem na te kolosy, które czasami wydawały z siebie skrzypnięcia i jęknięcia, zupełnie jak staruszkowie z reumatyzmem. Pomyślałem, że nie chciałbym aby któreś z nich zważyło mi się na głowę. Wiatr szumiał między pniami, biegł nad moim uchem i podśpiewywał dziką melodię. Przyspieszyłem kroku, gdy zobaczyłem, że zaczyna się ściemniać. Po zmierzchu w górach robi się niebezpiecznie. Po zmierzchu z kryjówek wyłazą wilki. Przedałem się przez ostrężyny i wyłazłem na polance, skąpanej światłem księżyca, który dopiero co wyłonił się zza zwiewnych obłoczków. Było lato, a mimo to na większej wysokości panował przenikliwy chłód. –* Tu pan Tim przerwał swoją opowieść, bo moja matka powiedziała surowym tonem: Na dzisiaj wystarczy. Jęknąłem i poprosiłem Tima, żeby skończył. On jednak nie uległ i skinął w stronę mojej matki. Starzec rzecz jasna, gdy przyszedłem pod

jego ogródek bez matki, z bandą dzieciaków skończył swoją opowieść. Wysłuchałem jej, a potem przez miesiąc nie mogłem zmrużyć oka.

Asmodeusz kroczył przez zamrażnięte polany, kołysałem się na jego grzbiecie i wsłuchiwałem się w odgłosy gór, do których zaczynaliśmy się zbliżać. W powietrzu poczułem woń górskiej roślinności, która mimo, że pokryta warstwą śniegu, wciąż kołysała się w podmuchach wiatru i słała do moich nozdrzy kłujący zapach. Poczułem, że moje ręce zaczynają cierpnąć. Puściłem się więc rogów Asmodeusza i wsadziłem je pod jego gęste futro. Weszliśmy na ścieżkę. Ścieżka ta wiodła w górę, zakręcała przy stoku i opadała w jedną z kotlinek. Minęliśmy tartak, który stanowił ostatni cywilizowany punkt. Dalej były góry. Powędrowałem wzrokiem za drewnianym domkiem, gdy się od niego oddalaliśmy. Chwilę potem, domek zniknął za zakrętem. Słyszałem stukot raciczek Asmodeusza, gdy tak stąpał po zamrażniętej śnieżnej pokrywie. Stuk, stuk, stuk, stuk. Rytmiczne człapanie, a prócz niego głucha cisza, zmącona pojedynczymi podmuchami ostrego wiatru. Nawet strumień pozostawał niemy. Woda musiała zamrażać. Wzdrygnąłem się na myśl o lodowatej wodzie, w której nieomal utonąłem.

- Asmodeuszu? – Zapytałem, cichnym głosem. Poczułem się senny.

Asmodeusz nie odpowiedział.

- Czy moglibyśmy się przespać? – Zapytałem, choć coś podpowiadało mi, że Asmodeusz nie planował postoju na drzemkę.

Kozioł pokręcił głową. Z jego rogów posypały się wiórki śniegu. Postanowiłem nie mówić nic więcej. Postanowiłem, że nie będę go tej nocy więcej denerwował. Zaciągnąłem się mroźnym powietrzem.

Gdy tak przeprawiłem się przez polanę – Kontynuował pan Tim, w mojej głowie. – Zrobiło się naprawdę zimno. Przeszedłem jeszcze dobre kilka kilometrów, pnąc się w górę jakiegoś zbocza. Nie wiem dlaczego szedłem dalej, mimo, że zapadała noc. Coś mnie ciągnęło. Coś nie pozawalało mi się zatrzymać. Wiedziałem, że wraz z nocą na świat wychodzą potwory. Noc jest niebezpieczna i poluje na takich durniów jak ja. Ale to coś, jakiś zew gnał mnie dalej i dalej. Dalej w ciemność. Szedłem tak jeszcze jakiś czas, może godzinę, może dwie, a może więcej. Szedłem, a nad moją głową rozbrzmiewały pieśni nocnych ptaków. Nocne ptaki przestały brzmieć znajomo, to nie były te same melodie, które roznosiły się nieopodal miasteczka. Te pieśni były dzikie, stare i wrogie. Wszystko wokół mnie było wrogie. Ostrężyny wbijały się w moje łydki, czułem ból w stopach i kręgosłupie. Musiałem zejść naprawdę daleko, bo od dłuższego czasu nie docierało do mnie żadne światło, prócz blasku księżyca. Księżyc jednak oświetlał moją drogę tylko chwilami, gdy gęste igliwie wpuszczało jego blask pomiędzy potężne pnie. Moja podróż dobiegła końca w miejscu, do którego nie zawitał przede mną żaden człowiek, tego mogłem być pewien. Zatrzymałem się i rozglądnąłem wokół. Stałem u wylotu lasu, na półce skalnej, z której rozciągał się widok na odległe szczyty, znacznie wyższe i groźniejsze niż te, na które pięli się turyści. Przed moimi oczami malowały się krainy, gdzie nawet w czerwcowe wieczory zalegał śnieg, gdzie człowiek nie śmiał stawiać stóp. Krainy te nie miały nazwy. Gdyby takową posiadały, wiedziałbym o tym. Wychowałem się w okolicach naszych niewielkich gór, znałem nazwy większości szczytów i doskonale wiedziałem, że nigdzie w pobliżu nie ciągnie się żaden inny łańcuch górski. Tak czy owak stałem wpatrzony w pasmo gór tak wielkich, że mogłyby być najwyższymi na całym świecie. Szczyty były kanciaste i ostre, wystrzeliwały w górę jak zamkowe wieżyczki. Każda z gór stała oddalona od sąsiedniej o co najmniej kilka mil, oddzielały je gęste lasy, w których rosły drzewa jeszcze wyższe niż te, które mijałem po drodze. Góry były strzeliste, poszarpane, a nad ich wierzchołkami kołowały stada białych obłoków. Pamiętam, że usiadłem na krawędzi skały. Moje nogi dyndały nad przepaścią, wciągałem ostry zapach gór i patrzyłem na księżyc, zawieszony ponad lasem. Nie wiem ile czasu spędziłem, ze spojrzeniem utkwionym na niebie, nie wiem ile czasu przesiedziałem z szeroko otwartymi oczami. Zdało mi się, że czas płynie w tym miejscu własnym rytmem, czasami zwalnia, a czasami

przyspiesza jak kolejka górską. Czasami nie płynął w ogóle. Chmury kotłowały się w powietrzu, popychane podmuchami zimnego wiatru, który czułem na własnej skórze. Było późno, choć godziny przestały wówczas dla mnie istnieć. Noc mogła dobiegać już ku końcowi, bo na horyzoncie zaczęły wykwiatać pierwsze bladoróżowe błyski promieni słonecznych. Obłoki przybrały pomarańczowe odcienie i spłynęły po ostrych stokach, przykrywając góry jak puchowa pierzyna. Uznałem, że czas ruszać. Uznałem, że moi rodzice na pewno się o mnie niepokoją, że nie mogę opuścić ostatnich dni w szkole. Podniosłem się, a moje nogi wydały mi się ciężkie i jakby zdrewniałe, zupełnie jakbym zaczął przrastać do tego miejsca. Przeraziło mnie to. Odwróciłem się za siebie, ostatni raz spojrziałem na góry. I wtedy zamarłem. Zamarłem, bo zobaczyłem za sobą coś czego nie chciał by zobaczyć żaden dzieciak. Wiecie co to było? – Pan Tim popatrzył na nas i uśmiechnął się. Pokręciliśmy głowami. – Za mną, w miejscu gdzie kończyła się skała, a zaczynała przepaść ktoś stał. Nie wiem czy był to człowiek czy coś innego, ale wtedy ten ktoś wydał mi się nieludzki. Balansował na krawędzi czeluści. Miał na sobie coś co przypominało długi czarny płaszcz, narzucony na wątłe ciało jak wór. Ten ktoś był wysoki, bardzo wysoki, a wręcz monumentalny. Na głowie miał kaptur, spod którego błyszczała para żółtych ślepi-ślepi, które wyglądały jakby należały do jakiegoś zwierzęcia, może lisa, może jelenia, albo wilka. Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, po czym postąpił krok w tył, prosto w przepaść. Nie spadł jednak, a zawisnął w powietrzu, jego płaszcz falował w podmuchach wiatru, jak macki ośmiornicy. I wtedy wyszczerzył się w tym paskudnym szerokim uśmiechu, obnażył spiczaste kły i rzucił się prosto na mnie! Uciekłem. Biegłem przez bardzo długi czas, póki mięśnie nie odmówiły mi posłuszeństwa. Nikt mnie nie ścigał, nikt nawet mnie nie dotknął, a jednak biegłem bez przerwy poprzez cały stok. Nawet nie wiem, kiedy dotarłem do domu, do miasteczka. Musiało minąć sporo czasu, bo szukano mnie we wszystkich okolicznych wioskach.

Nie pamiętam co pan Tim mówił dalej, ale wiem, że wspominał coś o diable, który po tej feralnej wyprawie, co noc stawał przy jego oknie i patrzył na niego, póki nie zasnął. Stał w bezruchu i gapił się na niego błyszczącymi ślepiami. Potem jego mama znajdowała pod domem ślady raciczek, czasami kępki sierści, a raz, gdy była zima, na szybie odcisnęły się szponiaste dłonie.

- Zmarłeś? – Zapytał Asmodeusz, a ja powróciłem z pętli wspomnień do chwili obecnej. Tak, faktycznie zmarłem, choć jeszcze przed chwilą zupełnie tego nie czułem.

- Troszkę. – Przyznałem.

Asmodeusz zatrzymał się i opuścił łeb. Zeskoczyłem z jego grzbietu i wylądowałem na skrzypiącym śniegu.

- Dalej pójdziesz pieszo. – Powiedział Asmodeusz. – Rozgrzejesz się.

Kiwnąłem głową, choć wcale nie podobał mi się ten pomysł. Lubiłem kołysać się z lewa na prawo i patrzeć na przesuwały się księżyc. Asmodeusz skinął przed siebie. Poszedłem za nim.

Podświadomie wiedziałem, że kierujemy się do straszego miejsca, o którym słyszałem od pana Tima. Wiedziałem to, bo Asmodeusz prowadził mnie ścieżkami jakich nigdy wcześniej nie widziałem, zupełnie jakby one pojawiały się pod jego kopytkami, jakby wyrastały znikąd, a gdy już po nich przejdziemy, znikną i znów zapadną się pod ziemię, tak by żaden śmiertelnik nie mógł na nie wejść. Tupałem za kozłem i patrzyłem na jego zawijane rogi, kołyszące się, gdy on stawiał pewne kroki.

- Asmodeuszu? – Zapytałem i przystanąłem.

- Tak? – Odwrócił się w moim kierunku.

- Gdzie mnie prowadzisz?

- Do miejsca, do którego powinienem cię zaprowadzić już wiele tygodni temu. – Odparł i zaczął posuwać się dalej. Bolały mnie nogi, mimo to ruszyłem za Asmodeuszem.

- A jeśli ja nie chce tam iść?

Prychnął.

- To nie chodź – Skwitował i przyspieszył kroku.

- Ale Asmodeuszu! – Wyspałem. Z moich ust buchnęły obłoczki mroźnej pary.

- Tak?

- Czy prowadzisz mnie do tego straszego miejsca, w którym był pan Tim?

Asmodeusz zatrzymał się. Nie odwrócił się.

- Kto ci tak powiedział? Kto ci powiedział, że to miejsce jest straszne? Nie ma się czego bać, głuptasie.

- Na pewno? – Wydukałem.

- Na pewno. – Odparł, swoim basowym głosem, nieco chrapliwym, ale wciąż pełnym zimnego spokoju.

- A co to jest za miejsce, Asmodeuszu?

- Piekło, mój drogi przyjacielu.

Zatrzymałem się.

- Idziemy do piekła?

- Mhm. – Przytaknął. – Prosto do piekła.

- Nie wiedziałem, że piekło jest w górach. Myślałem, że jest pod ziemią. I myślałem, że jest straszne. - Powiedziałem, a Asmodeusz się roześmiał.

- Och, skądże! Nie jest straszne. I nie jest pod ziemią. Nie jest też w górach. Piekło jest w powietrzu, a właściwie to między powietrzem. Piekło krąży gdzieś pomiędzy moim oddechem i twoim, gdzieś ponad naszymi głowami, ale ja potrafię tam dostać, mój drogi przyjacielu.

Asmodeusz prychnął.

- Dlaczego mnie tam prowadzisz? – Zapytałem i położyłem dłoń na jego plecach. Wzdłuż jego kręgosłupa przebiegł dreszcz, gdy wplotłem palce w jego futro.

- A dlaczego ludzie trafiają do piekła? – Zapytał i spojrzał na mnie, jakby był co najmniej urażony moją głupotą.

- Nie wiem. -Wzruszyłem ramionami. – Babcia mówiła mi, że do piekła idą źli ludzie. Albo ludzie, którzy nie modlą się rano i wieczorem. Ale to chyba na jedno wychodzi, prawda? – Spojrzałem na niego, chcąc upewnić się, że nie jest już na mnie zły o wejście na środek jeziora.

Asmodeusz ryknął śmiechem. Jego rżący głos potoczył się echem poprzez dno wąwozu, po którym stąpaliśmy.

- No co?- Spojrzałem na niego rozeźlony. – Co cię tak rozbawiło? – Nie lubiłem, gdy ktoś się ze mnie naśmiewał, a Asmodeuszowi zdarzało się to wyjątkowo często.

- Och, nic. – Powiedział. – Twoja babka to głupia kobieta. – Stwierdził.

- Nieprawda! – Zaprotestowałem. – Moja babcia jest bardzo dobra i mądra. – Wierzyłem w to. Naprawdę w to wierzyłem.

- Ale plecie głupstwa.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, hm?

- Ludzi nie dzieli się na dobrych i złych. A już na pewno nie na tych, którzy modlą się dwa razy dziennie, raz dziennie albo wcale. – Powiedział Asmodeusz i skręcił w wąską, krętą ścieżkę, która opadała w dół, gdzieś w ciemny las.

Las nagle wydał mi się nienaturalnie gęsty, jakby drzewa pochłaniały przestrzeń, jakby zjadały powietrze i zatrzymywały światło księżyca. Zrobiło się zimniej. Nie czułem już palców rąk, mimo że pozostawały wplecione w futro Asmodeusza. Nie czułem też stóp, a nad moją głową powiewał lodowaty wiatr.

- W takim razie... Kto idzie do piekła? – Zmarszczyłem brwi. Poczuję się urażony, gdy Asmodeusz zakwestionował mądrość mojej babki, która była dla mnie niemal jak wyrocznia. Mimo to chciałem posłuchać jego wersji, wersji czarnego kozła.

- Do piekła wcale się nie idzie, wbrew temu co może ci się właśnie wydawać. Nie idziemy do piekła. My stajemy się piekłem. Piekło wchodzi w nas.

- Nie rozumiem.

- Wiem. – Powiedział. – Niewielu ludzi jest w stanie to pojąć. Macie bardzo ograniczone umysły.

- A ty nie? – Uniosłem brwi. – Jesteś kozą. Kozłem, znaczy.

Asmodeusz znów się roześmiał.

- Tak sądzisz? A widziałeś kiedyś kozła, który mówi i zna drogę do piekieł?

Zamyśliłem się. Wzruszyłem ramionami.

- Znam ciebie. Ale nie widziałem jeszcze wielu rzeczy. – Zauważyłem. – Jestem młody.

- Bardzo młody. – Przytaknął Asmodeusz. – Sam mam jakieś pięć tysięcy lat więcej niż ty. A wciąż czuje się młodo.

- Pięć tysięcy?! – Wyduśłem. – Jak to?

- Mój drogi, jestem czymś co nie zna czasu i przemijania, jestem czymś co trwa i będzie trwać, podczas gdy ty obrócisz się w kupkę kości.

- Nie jesteś kozą. Kozłem?

- Nie. – Powiedział i skinął w moją stronę. – Ciepłej ci?

- Ani trochę. – Powiedziałem całkiem szczerze.

- Wsiadaj. – Westchnął, a ja posłusznie wdrapałem się na jego ośnieżony grzbiet. Dreptaliśmy teraz wąską ścieżką, biegnącą nad urwiskiem. Przez szczeliny między pniami widziałem tysiące gwiazd na czystym niebie. Był też księżyc. Wielki, odległy, zimny księżyc.

- To czym ty jesteś Asmodeuszu? I kto idzie do piekła? Znaczący, kto staje się piekłem? – Zapytałem i mocniej zacisnąłem skostniałe dłonie na jego karku.

- Ja jestem twoim przyjacielem, mam na imię Asmodeusz i to powinno ci wystarczyć. A kto staje się piekłem? Hm... Piekłem stają się dusza, która pragnę by stała się piekłem.

- I pragniesz żeby moja dusza stała się piekłem? A czy do tego nie trzeba być martwym? – Zastanowiłem się.

- Trzeba. – Odparł.

- To jak ja mam stać się piekłem?

Asmodeusz westchnął.

- Chcesz mnie zabić? – Zapytałem ściszym głosem. Wzdrygnąłem się na tę myśl. Wyobraziłem sobie jak te potworne rogi wbijają się w moje podbrzusze.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- To jak mam stać się piekłem. Przecież trzeba być martwym.

- A czy ty nie jesteś martwy, mój drogi przyjacielu? – Odwrócił łeb w moją stronę.

Zesztywniałem. Poczułem jak moje serce przyspiesza, jak wiruje mi przed oczami.

- Nie jestem martwy.

- Na pewno? – Zapytał i westchnął. – Czujesz swoje serce, czujesz swój oddech i swoje ciepło. Czujesz ból, zimno i strach. Tak ci się wydaje. Ale czy nie jesteś martwy? Och, mój przyjacielu...

- Asmodeuszu?

- To wszystko nie jest tak proste, chłopcze. Śmierć to nie przejście przez tunel, to nie pustka, ani chóry aniołów fruujące nad twoją głową. Śmierć to nie ból. Śmierć jest tutaj. Śmierć jest w nas obu. I we mnie i w tobie. Ja nie jestem martwy, ani nie jestem żywy, ale śmierć jest we mnie, bo ciało które noszę od dawna nie żyje. Nie bije serce tego kozła, oddech zamarł w jego piersi, zgnił i rozsypał się w pustkę. To ciało niewątpliwie nie żyje, ale za to istota którą jestem, niesie cię na grzbiecie i prowadzi twoją zagubioną duszę przez labirynty wspomnień, w których mógłbyś zabłądzić.

- Asmodeuszu? – Jego słowa do mnie nie dotarły. Powieki zrobiły się ciężkie, a ja słyszałem każde uderzenie mojego serca.

- Tak? – Powiedział łagodnie.

- Co się ze mną stanie?

- Nic nadzwyczajnego. – Odparł. – Sam się przekonasz.

- A moja mama? A tata? A babcia?

- A czy pamiętasz, gdzie byli gdy wchodziłeś na lodową pokrywę? Gdy przyprowadziłem cię nad jezioro?

Pokręciłem głową. Nie miałem pojęcia. Szczerze mówiąc wydawali mi się bardzo odlegli. Być może byli w domu, może w pracy, a może nawet mnie szukali. Bo przecież uciekłem z domu, prawda?

- Twoi rodzice dawno temu rzucili się za twoim sześciolatnim ciałem na to jezioro. – Westchnął i zwinął kroku. Przystałem się kołysać, na jego grzbiecie. – Rzucili się za tobą, a że byli pijani... Cóż. Chyba wiesz jak to się skończyło, prawda?

Pokręciłem głową, a do moich oczu napłynęły łzy.

- Oni też gdzieś tu są. – Powiedział. – Ale oni mają własne piekła. A ty masz własne. Tak to działa. A o babcię się nie martw. Zmarła dawno temu, choć jej droga do piekła zakończyła się zaledwie wczoraj.

Przełknąłem ślinę i starałem się stłumić szloch.

- Nie bec. -Powiedział. – Od tego jestem ja. To ja jestem tutaj kozą, no nie?

- Takk, zdaje się, że tak. -Jęknąłem.

- A wiesz, kto czeka na ciebie za tym zakrętem? – Skinął w stronę łuku, biegnącego wzdłuż urwiska.

- Kto? – Uniosłem głowę.

- Twój staruszek, który opowiedział ci o piekle. – Roześmiał się Asmodeusz.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków po ścieżce, a potem przystanęliśmy. Znajdowaliśmy się na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na góry tak wielkie, że z pewnością przerosłyby wszelkie granie, jakie dane było oglądać śmiertelnikom. Uśmiechnąłem się i odgarnąłem z czoła kosmyk przemoczonych włosów. Na niebie rozsypały się gwiazdy, a każda z nich wydawała się być równie bliska jak księżyc.

- Tim przyjdzie po ciebie, a dalej pójdziecie we dwójkę. Dalej idą tylko ludzie.

- A ty?

- Kozły zostają tutaj. – Powiedział poważnym tonem i uklęknął, a ja zeskoczyłem z jego grzbietu.

Tim czekał nad przepaścią. Poznałem go, choć jego rysy zatarły się i zniekształciły. Poznałem jego oczy, błyszczące spod kaptura.

- Asmodeuszu? – Złapałem go za umięśnioną szyję i objąłem z całych sił.

- Tak, przyjacielu? – Popatrzył na mnie czule.

- Czy jeszcze się zobaczymy? – Otarłem łzę.

- Zobaczymy się w piekle. – Powiedział Asmodeusz. – Spotkamy się i tam poprowadzę cię dalej, choć nie wiem kiedy to nastąpi. Za godzinę, za dwie, może za miesiąc, rok, albo całe stulecie.

- Nie zostawiaj mnie! – Załkałem.

- Tim zaprowadzi cię do otchłani, a tam wszystko się uspokoi. – Zapewnił Asmodeusz.

- Ale Asmodeuszu!- Asmodeusz zniknął. I nie pokazał się już więcej. Ale ja wciąż na niego czekam. I czekać będę. Choćby i wiek.

Koniec

*** Ciąg dalszy tej opowieści być może nastąpi, być może czas zatrze wszelkie jej ślady, a chłopiec bez imienia i jego czarny kozioł odejdą do pustki, aby tam rozsypać się w pył. Być może czarny kozioł wróci na księżyc, aby tam spocząć w pradawnej mogile, być może opuści swoje umarłe ciało i wzniesie się do miejsca z jakiego przybył. Być może. Nie wiem. Nie wiem, gdzie tym razem poniesie go otchłań, gdzie przełamie tafle piekieł i gdzie odnajdzie utraconą część własnego istnienia. Bajka dobiegła końca. Poza bajką rzeczywistość ugina się pod ciężarem nieskończoności i mknie do przestrzeni, w której kąpie się umysł pewnej małej śmiertelniczki. Asmodeusz otworzył bezdenne ślepie i uniosł głowę. On już wie. Wie, że tym razem dziecko, które dane będzie mu przeprowadzić przez krawędzie urwisk nieskończoności nie będzie martwe. Asmodeusz znalazł dziewczynkę. Tekla obudziła się wyrwana ze snu...

